

## Nisza i powietrza przestrzenie

- To getto i to coraz mniejsze - powiedziała znajoma teatrołożka i czujna obserwatorka życia teatralnego, a ja myślą i głosem przyznałem jej rację, choć słowo - nie tylko przez historyczne skojarzenia - wydało mi się ryzykowne. Sam wolę mówić o teatrze jako o niszy - pisze Dariusz Kosiński.



*zdj. Andrzej Rybczyński/PAP*

Niszy rynkowej, odwołującej się do specjalnych gustów i potrzeb stosunkowo niewielkiej grupy "klientów", ale też niszy ochronnej. Miejsce ciepłe i bezpieczne, wokół sami swoi - mili, dobrze ułożeni, inteligentni i w lot łapiący każdą aluzję. W zasadzie wszyscy się znają, na niejednej premierze i panelu już razem byli, na niejednym późniejszym bankiecie śmiali się z otoczenia i z siebie, bo przecież nie można niszy brać zbyt poważnie. W końcu wiemy, że to nisza, a choć daje nam miłe poczucie wyjątkowości, jak członkostwo elitarnego

klubu, to i żalu trochę jest, bo wszak teatr powinien mieć znaczenie i wpływ. W niszy nikt w to chyba nie wierzy, choć nosi się tu głównie postawę krytyczną i zaangażowaną. Ot, taki paradoks - resztki nostalgii z dawnych czasów wysrane z mlekiem teatralnych matek. Ale serio rzecz biorąc, wszyscy wiedzą, że teatr nie zmienia świata, bo świata zmienić się nie da, choć oczywiście można i należy krytycznie go komentować, w czym nisza się specjalizuje (pozostałe specjalności niszy to autoanaliza i podtrzymywanie kultury, czyli samej siebie).

Poza niszą zdarzają się takie wieczory, jak ten, który zupełnie przypadkiem zdarzył mi się kilka miesięcy temu. Niewielkie miasto, którego nazwa nic Wam nie powie - mały węzełek na kolejowej magistrali, przez który czasem pędzicie w płonnej nadziei, że ekspres nadrobi te

kilkadziesiąt minut opóźnienia. Dom kultury z lat, gdy budowano domy kultury, a więc dość stary i w wiecznym remoncie. Dziwna sala - ni to kinowa, ni to balowa, ale z płytką scenką. Na scenie stół wyciągnięty gdzieś zza kulis. Kilka kobiet w chustkach markuje przyjęcie, z samowarem - bo to rosyjski stół. Kobiety są stare. Najmłodsza z nich ma sześćdziesiąt kilka lat, najstarsza dobrze po siedemdziesiątce. Młodsza od nich o połowę instruktorka namówiła je, by opowiedziały swoje życie słowami Cwietajewej, Achmatowej, Mandelsztama. Recytacja nie jest mistrzowska - intonacje jak ze szkolnej akademii, ekspresja chwilami przesadna, ale dzięki "osobom działającym na scenie" tych kilkudziesięciu widzów myśli o sobie, o swoim życiu poza telewizyjnym banałem i bez tabloidowego melodramatyzmu.

Nie chcę przez to zestawienie idealizować teatru miłośniczego, teatru ludzi, którzy kilka razy w tygodniu przychodzą na próby, choć nie muszą, nie żyją z tego, nikt im nie każe, a czasem ktoś (nawet z najbliższych) ma do nich pretensje. Nie przeciwstawiam go niszy i jak najdalszy jestem od stwierdzenia, że nisza jest czymś gorszym, mniej wartościowym. Chciałbym tylko wszystkim, którzy ze smutkiem wyrzekają na wciąż zmniejszające się "getto" uświadomić i przypomnieć, że nie są sami. Proste wyliczenia dotyczące liczby osób działających na różnego rodzaju scenach pokazują, że więcej jest ludzi, którzy chcą uprawiać teatr niż tych, którzy chcą go oglądać. W miejscowościach, gdzie nie ma stałych scen, a to, co przysyła tam nisza, na ogół ją kompromituje, są ludzie usiłujący myśleć o sobie i świecie na sposób teatralny, albo tylko pragnący uciec od siebie na chwilę, pokazać się innym, dowieść, że dają sobie radę. To może nie są nasi widzowie, ale na pewno - nasi sojusznicy.